

MOJA NOTARIALNA ODYSEJA

Danuta Pyka*

Zastanawiając się nad ewentualną zawartością ewentualnego tekstu na trzydziestolecie Notariatu krakowskiego, może raczej lekkiego, skoro czasy są ciężkie – myśli uparcie wracały do początków moich przygód notarialnych, chociaż w zaproszeniu do snucia refleksji na temat stwierdzono, że jednak Państwowe Biura Notarialne mamy już dawno za sobą i trudno się z tym nie zgodzić.

Z nadzieją, że ciągle jeszcze nie jest to u mnie znana przypadłość ludzi wiekowych, pamiętających świetnie co było przed laty, a tylko jako tako to, co ostatnio, wspomnę PBN, ponieważ od krótkiej pracy w Państwowym Biurach i to kolejno trzech, zaczynałam, a czasy te z racji oddalenia wszystko koloryzującego, wydają się zwyczajnie barwniejsze, zaś z racji tegoż upływu – nie wszystkim znane tak dobrze, jak panująca nam codzienność.

Wytrwawszy w notariacie od 1989 roku „do nadal” (jak rozczulająco zapisywała jedna gmina w zaświadczeniach o okresie pracy rolnika w gospodarstwie), zagadkowe jest dla mnie także i to, że zostałam na całe życie z notariatem w zasadzie przez przypadek.

Mniej więcej w połowie odbywanej w połowie lat osiemdziesiątych aplikacji

sądowej ostatecznie doszłam do wniosku, że na sędziego na pewno się nie nadaję. Tylko co dalej? Zanim rozpoczęłam studia prawnicze, pożegnałam w nieutulonym żalu myśl, że życie zawodowe upłynie mi na studiowaniu kultur starożytnych, najlepiej z epoki brązu. Póki co jednak, jako aplikanta sądowego pozaetatowego, skierowano mnie do pracy w Państwowym Biurze Notarialnym w Krakowie. Miałam zająć biurko osoby przebywającej właśnie na urlopie i nikt nie zwracał sobie głowy tym, co powie ta osoba po powrocie. Okazała się jednak wielkoduszna i kolejne dwa lata spędziliśmy urzędując po dwóch stronach tego samego biurka. W ciągu tego czasu, ciągle nie mając pomysłu na swoją dalszą prawniczą karierę, może dlatego, że nie należałam ani do znanej ani do nieznanej prawniczej rodziny, odkryłam w krakowskiej hipotece, czyli archiwum ksiąg wieczystych, coś wreszcie i niezwykle interesującego – wykazy hipoteczne! Wspaniale opaste tomiska, oprawne w skórę i zapisane piórem przed dziesiątkami lat, bo już od czasów zaboru austriackiego, cudownym kaligraficznym pismem, o którym późniejsze pokolenia, niemogące same siebie odczytać, nie mają pojęcia. Wykazy te prowadzone dla byłych gmin katastralnych miały intrygujące tytuły „Wawel”, „Stradom”,

* Notariusz w Katowii Zebrzydowskiej

„Zwierzyniec” i zawierały historię w czystej postaci. Wystarczyło wyczytać się w dokonane w nie kolejne wpisy, aby wyobrazić sobie historie rodzin, ich domów i ogrodów, sąsiadów, interesów dużych i drobnych. Dbałość o swoją ziemię – służebność przegonu była, ale tylko na uwięzi, szczupłość miejsca pod dom – służebność wypuszczenia dachu nad gruntem sąsiada. Nadzieje zawarte w kontraktach przedślubnych, smutek dziedziczenia kilkorga małoletnich dzieci. Sześcioro rodzeństwa, drobiazgu na skromnym łańku jakiejś chudoby i jako współwłaściciele kamienicy przy Rynku, jak potoczyły się ich losy? Co sprawiło, że po wielu latach, w następnych wpisach pojawia się już tylko jedno z nich, a do księgi dołączane są kolejne arealy. Spryt do interesów, łut szczęścia, korzystne małżeństwo? Panny Łęckie i Jagny Borynowe. Nieznane jednostki miary i wagi. Pomyślałam, że notariusz, w odpowiedniej perspektywie, a tym bardziej kolejni notariusze zapisują historię w księgach – nie bez powodu wieczystych. I zaczęłam się temu zawodowi, o którym nie miałam większego pojęcia, uważniej i z narastającym przekonaniem doń, przyglądać.

Zdawszy w pierw egzamin sędziowski i następnie po skróconej aplikacji egzamin notarialny, zostałam p.o. notariuszem (pełniącym obowiązki notariusza), a po stosownym czasie, dbając o szczupłe dobro państwowe pracownik sekretariatu wyciął żyłkę z gumowej pieczętki imiennej „p.o” i tak zostałam notariuszem, na początek, Państwowego Biura Notarialnego. Dodam: notariuszem bardziej wiejskim niż miejskim.

W ramach sumiennosci zawodowej i aby sprostać apelowi o współczesność notarialnych

dywagacji na trzydziestolecie, sięgnęłam najpierw po leżące w mojej kancelarii na miejscu ważnym, jednak w dziesięcioletnim bezruchu (nie ma się co okłamywać, z tym będzie tak samo) piękne, wysmakowane wydawnictwo pod tytułem „20 lat Izby Notarialnej w Krakowie”. Chciałam jakoś umiejscowić w czasie ostatnie 10 lat, bowiem lata codziennej pracy stają się strumieniem bez początku i przeważnie wydaje się także, że bez końca. Wydawnictwo to, zawierające wspomnienia znanych nam notariuszy, osób wybitnych, błyskotliwych, zaangażowanych w pracę samorządową, oraz ich refleksje z tamtego czasu, przyznam, zamierzałam tylko przejrzeć, jednak okazało się lekturą tak wciągającą, że przeczytałam je od jednej twardej okładki do drugiej. I cóż, dwie rzeczy rzucają się w oczy; pierwsza to taka, że można by spokojnie ówczesne przemyślenia o kondycji naszego zawodu oprawić w nowe eleganckie okładki, zmieniając 20 na 30, oraz druga, że dla zamieszczenia portretów obecnych notariuszy, które to wydawnictwo sprzed lat zawiera – wygenerować trzeba dodatkowy tom. Aktualne pozostają wszystkie ówczesne apele: o jakość szkoleń i powrót do nieróżnianej relacji mistrz–uczeń (not. Wanda Miłoszewska), o jasną prawną sytuację notariusza, zwłaszcza jako osoby zaufania publicznego (not. Zygmunt Truskiewicz), o efektach tzw. otwarcia zawodu notariusza (not. Joanna Greguła). Wszystkie te utrapienia znamy, żadne nie stało się przeszłością, przeciwnie – problemy się pogłębiły tylko, jak w tym samym wydawnictwie zauważył trzeźwo not. Tomasz Kot „refleksja »kiedyś było lepiej a jaki jest notariat każdy widzi« nic

o nas samych nie mówi”, proponując zresztą ciekawe i pouczające na sprawę spojrzenie.

Zachodzi zatem pytanie, jakim sposobem trzyma się instytucja od lat, jak czytam, co najmniej dziesięciu niezmiernie w dobrą stronę i wolę nie myśleć, że jednak tylko siłą bezwładu połączoną z roztargnieniem ustawodawcy, chwilowo czym innym zajęтым. Wolę myśleć, że przetrwała, ponieważ jest potrzebna. Widzę to znakomicie w mojej kancelarii. W kancelarii nie wielkomiejskiej (żeby nie powiedzieć małomiasteczkowej wraz z przyległymi wioskami), relacje notariusz – klient w układzie zdrowym w znacznej mierze przetrwały. To znaczy dla klienta notariusz jest osobą, która wie. W dużym mieście, jak słyszę od kolegów notariuszy – to klient jest osobą, która wie, a nawet wie lepiej. Na prowincji klient raczej zakłada, że notariusz jest rzemieślnikiem w prawie, zamierza określoną sprawę przeprowadzić, i przyjmuje, że nie za darmo. I tenże klient wdaje się z notariuszem w rozmowę, a z rozmów tych wynika dla notariusza, że stan świadomości prawnej naszych obywateli jest fatalnie niski. Wiele osób zwyczajnie nie wie, do kogo ma się udać, do jakiego urzędu lub jakiej specjalności prawnika. Wielu, i to raczej z tych młodszych, nie odróżnia gminy od starostwa, sądząc, że to dwie nazwy tego samego, o rozróżnieniu kompetencji nie wspominając. Młodsze i obeznane z Internetem osoby błędzą we mgłę półprawd, naczytawszy się do niestrawności i przeważnie bez zrozumienia przeróżnych porad prawnych i parapravných. Szczególnie dotyka mnie nieświadomość sytuacji prawnej kobiet, zwłaszcza tych już starszych, o spracowanych dłoniach. Sądząc z kolorowych

pism, Polki to zamożne i niezależne mieszkanki metropolii, tymczasem ja spotykam na co dzień w mojej pracy kobiety w każdym wieku, które nie tylko nie są niezależne finansowo ani też w żaden inny sposób, niewiedzące nawet, na czym stoją, lub przekonujące się właśnie o tym boleśnie. Niemające pojęcia, że dom z ogródkiem, w które włożyły bezmiar pracy, do nich nie należy, że obiecane gospodarstwo teściowa przepisała w chwili czułości na zupełnie kogoś innego, kogoś, kto starszej pani więcej nie odwiedził, oraz że miała do tego święte prawo. Że ani dzieciom, ani tym bardziej synowym nic „się nie należy”. Że jeżeli niczego się nie ma, to przeważnie też nie ma się nic do powiedzenia i lepiej coś mieć na chwilę, kiedy pracujący małżonek niepracującej małżonce powie, że teraz będzie miał inną żonę, a kto wie czy nawet nie lepsze dzieci. Jest tu naprawdę wielkie pole do działania dla notariuszy, nawet na co dzień, na krótką rozmowę, byle uznać, że osoba, która przed nami stoi, jest osobą i potrzebuje pomocy, żeby nie powiedzieć światła.

Swego czasu, wraz z kilkoma koleżankami notariuszkami, wzięłam udział w projekcie polegającym na lekcjach prawa w szkołach średnich. Bez przekonania, sądziłam, że powiemy swoje, oni popatrzą w swoje ekraniki i tak dotrwamy do dzwonka. Tymczasem okazało się, że młodzi ludzie są praktyczni i chcą wiedzieć. Nie tylko słuchali uważnie, ale zadawali pytania, a gdy już pedagogicznie się rozkręciliśmy, dostałyśmy nawet brawa! Młodzież była zainteresowana, panie wychowawczynie także, ale projekt się skończył. Może więc w zbożnym celu wrócić do staroświeckiego uczenia młodzieży i nasiąkania skorupki od młodu? Skoro przeważnie nie

odróżniają decyzji administracyjnej od wyroku sądu, może dobrze przybliżyć trójpodział władzy, zanim ostatecznie się zatrze i uświadomić, że Konstytucja ma bezpośredni wpływ na ich jak najbardziej codzienne życie i jest czymś ważnym, czymś bardziej konkretnym niż dwukolorowy napis na podkoszulkach.

Wydaje się, że chociaż ustawodawca robi wiele, aby notariusza jego podstawowego przymiotu, bycia osobą zaufaną, pozbawić, nadal wiele osób przychodzi do kancelarii po poradę, często w najważniejszych życiowych sprawach, z prośbą o rozwikłanie domowych konfliktów czy sąsiedzkich zatargów. Czasem zostając klientami kancelarii, a czasem nie. Mając nadzieję, że ja – notariusz, poukładam ich sprawy rodzinne tak, aby ich decyzje zapobiegły konfliktom na przyszłość i jako ten notariusz, wykazując przy okazji wiedzę boską – ponieważ oczekują nierzadko tego poukładania na pokolenie naprzód. Zwykle udaje mi się zapędy niektórych klientów pohamować stwierdzając, że jest to o tyle trudne, że ludzie nie umierają w tej kolejności, w której się urodzili – jednak to zaufanie jest bezcenne i dbajmy o nie, ponieważ jest fundamentem naszego istnienia.

I bywa też wzruszające.

Kolejna refleksja, która mnie nawiedza po lekturze wydawnictwa sprzed 10 lat, jest taka, że my to, o czym traktuje wydawnictwo, doskonale wiemy, a w każdym razie znakomita większość z nas wie, zapewne wyjątkiem będzie i na trzydziestolecie tekst czy przemyślenie dla nas nowe, ale czy ktoś jeszcze poza nami wie, kim jesteśmy i na czym nasza praca polega? Kiedyś odwiedzająca mnie osoba, zadumawszy się nad rządami zielonych „Rejentów” w mojej bibliotece,

zapytała „To wy tyle tego dla siebie piszecie?”. Cóż, trochę tak, bo poza tekstami ściśle merytorycznymi i przydatnymi dla prawników różnych specjalności, tak sobie sami piszemy, nawzajem utwierdzając się we wspólnych notariatowi sukcesach i porażkach, obawach o przyszłość, postulatach. Może zatem notariat powinien być lepiej widoczny i z najlepszej strony. Gdy bowiem spojrzeć na tytuły artykułów prasowych w naszych krakowskich prasowych przeglądach, mogłabym uznać, że należę do grupy, której nadużycia należy ukrócić przez nagrywanie czynności – w lepszym przypadku, lub do grupy przestępczej – w gorszym. Nie przyznaję się do żadnej z nich. Ale czy ktoś widzi mrówczą pracę notariusza, który ledwie kilka kartek odczyta? Ile w tej kartce jest wiedzy, wątpliwości – oby skutecznie rozwiązanych, poszukiwań odpowiedzi na najdziwniejsze prawne kazusy, ile lat nauki, ile wreszcie kosztów kancelarii? Wydaje się, że w naszych czasach powszechnej powierzchowności wiedza ta jest coraz mniejsza, skoro w piśmie nieprawniczym, ale o nieprawnikach tu mowa, jednak opiniotwórczym, jakim jest „Polityka”, poważny komentator pisze o „notariuszu kogoś lub czegoś”? (Wiem, wiem powinnam podać numer pisma, rok wydania i stronice, ale jak w większości tego tekstu, czytelnik zdany jest na słowo autorki). To tylko oznacza, że nie ma pojęcia, kim jest notariusz, odbiera go jako osobę coś bezrefleksyjnie poświadczającą i co najgorsze – czytając! Jak to się stało, że nagle, a może nie nagle, w naszych kancelariach pojawili się klienci ze spokojem używający określenia „mój notariusz”. Tonem lodowatym stwierdzam wtedy, że pozostaję w nadziei, iż żaden notariusz nie jest „czyjś”

i wtedy udaje mi się czasem zauważyć błysk zrozumienia w oku klienta, że przecież jak jeden notariusz będzie jednej strony, a inny drugiej, to konieczny będzie trzeci – ten bezstronny?! A o takiego właśnie mu chodzi. O kogoś, kto uczciwie i nieprzywiązany niczym do żadnej ze stron, według najlepszej swojej wiedzy wyważy ich racje, zanim, uchochaj Boże, trafią do sądu.

A w jakim wymiarze zmieniła się w ciągu ostatnich lat praca wiejskiego notariusza? Oczywiście w wygodzie otwarcia elektronicznej księgi wieczystej na swoim biurku. Jest to teraz co prawda rodzaj odpersonalizowanej tabelki, ale ułatwienie ogromne, zwłaszcza gdy w danym mieście nie ma sądu z archiwum ksiąg. A dlatego odpersonalizowanej, że kiedyś poznawałam autora wpisu, po piśmie właśnie. Znowu wracając do początków niżej podpisanej, praca moja, jako aplikanta sądowego pozaetatowego w biurze notarialnym, polegała na dokonywaniu projektów wpisów w księgach wieczystych – projektów, ponieważ wpisem stawał się, gdy został zaakceptowany i podpisany przez przydzielonego notariusza. Upewniwszy się, że w księdze wieczystej nie można ot tak skreślać w przypadku pomyłki, w zasadzie bałam się ruszyć długopisem i pożytek ze mnie jako osoby przygotowującej taki projekt wpisu do księgi był skromny. Chyba że trafił się wniosek o wykreślenie hipoteki – to wydawało mi się proste – należało podkreślić wpis czerwoną kredką. Prawdziwym wyzwaniem było ustalenie, o co wnioskodawcy chodziło, ponieważ wniosek był często napisany, jak kto umiał i raczej z przedłożonych dokumentów wynikała jego intencja. Drugim wyzwaniem było odszukanie księgi wieczystej. Naturalnie układano je kolejno,

według numerów, tylko że kiedy kończyły się zaplanowane pierwotnie regały – długie szeregi ksiąg rozpoczynały pełną fantazji podróż po improwizowanych dostawkach, regalikach i półteczkach sytuowanych gdzie popadło, a dokładniej gdzie jeszcze był skrawek wolnego miejsca. Pracując na obrzeżach trzech archiwów ksiąg wieczystych, czyli hipotek, przekonywałam się, że wszędzie jest tak samo! Tylko wieloletni pracownik archiwum wiedział, gdzie czego szukać, wiedział bowiem, że kiedy skończyło się miejsce na półkach pod oknem, a następnie na dostawce obok kaloryfera, zrobiono półki nad drzwiami. Nowicjusz stawał bezradny – gdy już był pewien, że jeszcze dziesięć ksiąg i już ta poszukiwana, nagle kończyła się półka, a ciąg dalszy numeracji mógł zaczynać się właściwie gdziekolwiek. Dodam, że do archiwum wstęp miała spora ilość osób, w tym aplikantów przeróżnych prawniczych specjalności, geodetów, praktykantów. Jeden z nich zapewnił mnie, że księgę wieczystą nieruchomości dziadka, po którym jako ulubiony wnuk rodzący szanse na powodzenie rodziny, ma spore szanse dziedziczenia – trzyma dla pewności w domu. Wówczas jako osobie kompletnie nieznającej ustroju ksiąg wieczystych wydało mi się to rozwiązaniem może kontrowersyjnym, ale kto wie czy nie rozsądnym. Wiele lat potem, już w mojej kancelarii, na zadane przeze mnie pytanie: „czy ma pan księgi wieczyste?“, obywatel uradowany, że wreszcie ma coś, co ruszy sprawę do przodu, sięgnął do sfatygowanej teczki skórzanej, w jakiej w latach pięćdziesiątych urzędnik nosił do pracy papiery i drugie śniadanie, i wyjął z niej nie jedną, ale kilka ksiąg! No, wtedy to już zamarłam. Księgi wróciły naturalnie do

swojego matecznika, mój klient oddał je bez sprzeciwu – on także nie znał ustroju ksiąg wieczystych i był przekonany, że kiedy położono je przed nim na biurku w hipotece, to są jego.

Miałam wiele podziwu dla pracowników archiwów, prawdziwych magów tych zagadkowych miejsc. Znałam i takich, którzy, co zupełnie niewiarygodne, wiele numerów konkretnych ksiąg (gmin, Skarbu Państwa, znanych w danej wsi rodzin, dużych gospodarstw rolnych, przedsięwzięć bez końca typu zaporą w Świnnej Porębie itp.) znali na pamięć.

Dzielny czytelnik, dotarłszy aż dotąd, zapyta może, a co z zamiłowaniem do starożytności? Przetrwał. Przepadam za tropieniem jej śladów w Azji Mniejszej, częściej w Grecji, szczególnie na greckich wyspach. Przeważnie wędruję po nich samotnie. Osoba niezbyt odważna, która ma określone środki na

takie ekstrawagancje, zabiera się za to tak, że wykupuje wakacje na jednej z wysp, a następnie wycieczki na sąsiednie i dalsze, czasem też płynę kursującym promem, wracając przedostatnim, aby gdzieś nie utknąć. Podróżuję z Homerowymi poematami wszechczasów i dlatego zwykle sama. Mało kogo aż tak pociągają nieznanie nikomu zatoczki i sterty głązów, nie będzie zagapiał się godzinami w zadumie w przestrzeń, niemal widząc minione cywilizacje, bitwy, zwykłych ludzi i bohaterów. *Nireus który urodę wszystkich przewyższa Danajów, tych co pod Iliion przybyli, prócz Pelidy* (tj. Achillesa) *bez skazy* (Nireus według cytowanej *Iliady* był królem wyspy Simi i wystawił pod Troją trzy okręty). I jeszcze muzea archeologiczne, chłodne i poza najśłynniejszymi, przeważnie bezładne miejsca – pola dla wyobraźni. Polecam.